Nr. 31. Kraków, Czwartek 1 Sierpnia 1895. Rocznik IV.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Szewska L. 7, parter.

Wszelkie przesyłki adresować należy: Józef Kleinberger, ulica Szewska, L. 4.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Plac Maryacki L. 2,—we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ulica Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ul. Kilińskiego L. 2.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane, nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W Krakowie: rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w każdy czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Król belgijski jest w położeniu nie do zazdroszczenia i to z powodu reakcyjnych popędów jego ministra oświaty i klerykalnej większości w parlamencie, chcących szkoły wydać na pastwę kleru, a z Belgii zrobić filię Watykanu. Lud belgijski postanowił najenergiczniej zamanifestować swoje oburzenie z powodu tych zamiarów rządu i przy każdej sposobności okazuje to królowi. Posłuchajmy korespondencyi z Brukseli do „Vossische Zeitung“ z 27 lipca:

Kiedy król o 8 wieczór wrócił do swego pałacu, był oburzony i niespokojny. Kazał natychmiast do siebie wezwać burmistrza Bulsa, wyraził swe niezadowolenie z powodu gorszących manifestacyj i oświadczył, że będzie tylko pod tym warunkiem uczestniczył w uroczystościach poniedziałkowych, jeżeli się energiczne środki ku ochronie jego osoby przedsięweźmie. Buls przyrzekł; ściągnięto żandarmeryę, jawną i tajną policyę; przedsiewzięto nadzwyczajne środki ostrożności. Gdy król jechał na uroczystości gimnastyków i cyklistów, zajmowali pierwszy powóz dworski sami adjutanci; powóz króla szczelnie zamknięty otaczało 12 żandarmów na koniach; było więcej policyantów jak widzów. Sam lud przygotował królowi zimne przyjęcie; nigdzie nie słychać owacyjnych okrzyków; tu i owdzie tylko gubiący się okrzyk: „Vive le roi“ (niech żyje król), na który odpowiadano: „Precz z ustawą szkolną!“ Podczas obecności króla na wieczornej uroczystości na placu Leopolda była cała dzielnica i park obsadzone policyą i szpiclami; ulice zamknięto tak, że jeszcze jako tako poszło. Tym gorzej jednak upłynął dzień wczorajszy.

Zabawa odbyła się na placu „du grand Sablon“; cała policya była na nogach; prokurator Willemaers, szef policyi Bourgeois, wielu oficerów policyjnych i mnóstwo tajnych policyantów kręci się wśród widzów.

Kiedy zjawia się król, wołają policyanci: „niech żyje król“; publiczność milczy. Gdy jednak król zabierał się do powrotu, zmienił się obraz. Partya robotnicza rozdzielała masami odezwy przeciw ustawie szkolnej; policya aresztowała wielu rozdzielających te odezwy. Król obchodził cały plac, aby pożegnać się ze wszystkimi: kilka razy słychać wołania: „Precz z ustawą szkolną“. Król udawał, że ich nie słyszy. Gdy jednak wsiadł do powozu otoczony policyą, rozpoczynają się świsty i syki. Wołano: „Precz z państwem Kongo! Precz z ustawą szkolną! niech żyje socyalna rewolucya!“ Masy chcą podążyć za powozem, policya jednak zastępuje im drogę. Na ulicy Bodenbrock przyjęto króla groźnymi okrzykami: „Precz z ustawą szkolną!“ Dwóch młodzieńców, rzucających kapustę do powozu króla, kilka osób, wołających „precz z królem“, aresztują, ale i tajni ajenci-prowotatorzy wołają: „Niech żyje republika“. Na ulicy la Régence stoją również wzburzone masy, wołające „precz z królem“. Znowu aresztowania. Obrzucano króla burakami i całemi pakami żółtych kartek, tak że się konie jego spłoszyły. Na ulicy św. Anny nowe demonstracye! Gdy policya chciała aresztować, przyszło do bitek, policyanci rozdzielali cięgi bronią i po wściekłej walce zwyciężyli. Dziewiętnaście osób ujęto i odprowadzono do urzędu policyjnego, gdzie ich natychmiast przesłuchano; jednystu wytoczono proces o obrazę majestatu, między nimi jednemu urzędnikowi ministerstwa, który wołał do króla: „Ruszaj pan do djabła do państwa Kongo“. Tyle „Vossische Zeitung“.

W niedzielę odbyła się w Brukseli wspaniała demonstracya 100.000 ludności przeciw ustawie szkolnej. Socyaliści wystąpowali wspólnie z wolnomyślnym mieszczaństwem. W parlamencie poseł Defuisseaux zapowiedział walkę wszelkiemi środkami przeciw gwałceniu wolności sumienia obywateli przez klerykałów.

Rozbicie mieszczaństwa na dwa obozy dokonało się w Rzeszowie dnia 28 lipca na zjeździe demokratycznego i ludowego stronnictwa. Wybrano swój osobny komitet centralny dla kierowania wyborami i uchwalono wydać odezwę programową wyborczą. Prezesem wybrano dra Lewakowskiego, zastępcą Henryka Rawakowicza, poczem idą nazwiska znanych we Lwowie drobno-mieszczańskich warchołów, kilku włościan, oraz kilku demokratów z prowincyi. Szczerze mówiąc nie rokujemy sobie dla przyszłej polityki ludowej w kraju wielkich nadziei po tym zjeździe. — Odezwy „programowej“ jeszcze nie ma, ale z góry możemy powiedzieć, że będzie to coś na kształt noża bez ostrza, któremu brakuje rękojeści. Już sami wiecujący w Rzeszowie kłócili się o — — powszechne głosowanie, a poseł Lewakowski uroczyście zaprzeczał, jakoby demokraci kiedykolwiek rzucali hasło wybierania tylko chłopów do sejmu! A gdyby i tak było, to czy to co złego, czy należy znów tak się od tego zarzutu podniesionego przez stańczyków obmywać?

Ale jedna korzyść ze zjazdu w Rzeszowie jest nieuniknioną. Zjazd okazał, że mieszczaństwo jest rozbitem, że „lewica sejmowa“ faktycznie nie istnieje, że nie jest ona żadną samodzielną organizacyą i że nie będzie grała roli opozycyi. Dla ludu też lepiej, że pańskie lizusy będą musiały zdjąć mundur opozycyi a przywdziać liberyą. Przez to, że w samym obozie mieszczańskim próbuje się wyłaniać partya naprawdę opozycyjna, może wreszcie wyklarują się stosunki. Całe pytanie jednak leży w tem, czy ci nowi „demokraci“ będą mieli dość silne karki, aby ich nie ugiąć przed swoimi oswojonymi już braćmi... czy będą mieli dość charakteru, aby bronić chłopa i biednego mieszczanina, a nie dać się złapać na szachrajskie frazesy.

W krótkim czasie obaczymy tę nową opozycyą w boju.

Łaska poselska. Organa serwilizmu galicyjskiego, jak „Dziennik polski“ lub „Czas“ są niesłychanie zdumione, że ks. poseł, prałat, profesor dr. Chotkowski raczył przyjść we własnej osobie na robotnicze zgromadzenie! Już za to samo, że raczył powozem zajechać przed skromną „restauracyę“ p. Ebera, powinni go byli robotnicy na rękach nosić. Ze poseł dr. Weigel, radca cesarski, b. prezydent

---

„GAŁKA ŁOJOWA“.

Nowela

1 **Guy de Maupassant'a.**

Już od dni kilku przechodziły przez miasto szczątki pobitej armii. Nie były to już wojska, lecz tylko nieokiełznane hordy. Długie brudne brody zarastały twarze żołnierzy, obszarpane uniformy od biedy tylko pokrywały ich nagość, i bez chorągwi, bez wojskowego ładu wlokło się to. Wszyscy wyglądali słabi i zmordowani; siląc się w niepokoju na myśl jaką lub postanowienie, maszerowali jedynie z długiego przyzwyczajenia i padali wyczerpani na ziemię, gdzie ich zatrzymano. Szczególniej rezerwa, po większej części bardzo pokojowo wyglądający ludzie, uginali się pod brzemieniem karabinów; mali, zwinni rezerwiści, którym nietrudno było strachu napędzić, ale też i zapałem przejąć łatwo, równie skorzy do ataku, jak do ucieczki; dalej znów wyzierało z pośród nich kilka par czerwonych spodni, ostatnie reszki którejś w jednej z wielkich bitew rozbitej dywizyi; ponuro wyglądający artylerzyści, niezadowoleni, że ich wmięszano w tę pstrą gromadę piechurów; gdzieniegdzie można też było rozpoznać błyszczący hełm dragona, który w swych czarnych butach kawaleryjskich z mozołem mógł nastarczyć łżejszym marszom wojsk liniowych. Bandy Francitreur'ów, podobnych raczej do bandytów, niż do żołnierzy, przeciągały, pusząc się wszelkiego rodzaju bohaterskiemi przezwiskami, raz jako „mściciele klęski“, to znów jako „obywatele mogił“, lub „związkowi bracia zgonu.“ Ich dowódcy, byli handlarze sukna i zboża, zbankrutowani mydlarze, wojownicy z przypadku, których już to dla majątku, już to z powodu długich wąsów mianowano oficerami, rozprawiali poważnie, sprzeczali się o plany wojenne i zapewniali, że na swych samochwalczych barkach bez niczyjej pomocy zdołają podtrzymać pasującą się z śmiercią Francyę. Ale w rzeczywistości uczuwali oni niekiedy piekielną trwogę wobec swoich własnych żołnierzy, którzy stawali się często do zbytku walecznymi, skłonnymi do rabunku i wszelkich możliwych wybryków...

Utrzymywano, że Prusacy bliscy są wkroczenia do Rouen.

Gwardya narodowa, która już od dwóch miesięcy bardzo ostrożnie rekognoskowała okoliczne lasy, tak ostrożnie, że wystrzelała niekiedy swoje własne forpoczty, stając w pogotowiu do walki, gdy mały zajączek wśród krzaków zaszeleścił, — wróciła nazad do miasta. I broń jej i mundury, krótko mówiąc, cały aparat wojenny, za pomocą którego niedawno jeszcze na trzy mile wokoło strachem napawała kamienie przydrożne, nagle zniknął...

Nakoniec ostatni żołnierze francuscy przeszli Sekwanę, aby przez Saint-Sever i zamek Achard dotrzeć do Pont-Audemer. Za nimi wszystkimi przybył z rozpaczą w oku generał, który nic już nie był w stanie przedsięwziąć z temi rozproszonemi rotami, który przygnieciony wielką ruiną narodu, przywykłego do zwycięztw, a teraz mimo męztwa swych legionów srodze zwalczonego, szedł pomiędzy dwoma oficerami ordynansowymi pieszo nadciągnął...

Wśród niemego oczekiwania na coś strasznego głęboki spokój rozpostarł się nad miastem. Niejeden brzuchaty, zniewieściały przy handlu mieszczanin, z dziecinną trwogą wyglądał przybycia zwycięzców, drżąc z obawy, żeby może jego rożnów nawet, lub wielkich noży kuchennych za broń nie poczytano.

Wszelkie życie zdawało się ustać; sklepy były zamknięte, ulice puste. Czasami tylko przemknął się spiesznie po pod mury wystraszony tą niemiłą ciszą mieszczuch.

Trwożliwe to oczekiwanie obudziło nakoniec pragnienie, aby już raz wreszcie nieprzyjaciel wkroczył. Gdy następnego popołudnia kilku ułanów przegalopowało przez miasto, nikt nie wiedział, skąd się wzięli. Wkrótce potem wtoczyła się do miasta od strony Saint-Catherine ciemna masa, podczas kiedy dwa inne korpusy zbliżały się traktami z Darnetal i Boisquillaume. Przednie straże trzech korpusów zetknęły się z sobą równocześnie przed hotelem „de Ville“, i ze wszystkich ulic napływało teraz wojsko niemieckie, rozwijając bataliony, pod których ciężkim, miarowym krokiem bruk dudniał.

Obco brzmiące, szorstkie komendy rozlegały się wzdłuż domów, które wyglądały jak wymarłe, podczas gdy z poza zamkniętych okiennic niejedno ciekawe oko śledziło zwycięskie hufce, będące teraz według praw wojennych panami miasta, majątku i życia mie-

Krakowa, prezes komisyi przemysłowej, honorowy obywatel Jasła, adwokat i t. d. i t. d. usprawiedliwiał swoje postępki przed socyalistami, to zapewne wydaje się tym służalcom prasowym jako znak nadludzkiej dobroci wobec robotników!...

Otóż musimy tym zamierającym w pokorze panom przypomnieć, że czasy się zmieniły, że w klerykalnym Krakowie muszą się wreszcie liczyć z rosnącym coraz bardziej ruchem ludowym, że nietylko nie jest to żadną łaską, jeżeli poseł ma odwagę publicznie przed tysiącem ludzi wykazać, że jest uczciwym politykiem, a nie głową do pozłoty lub maryonetką rządową, nietylko nie jest to żaden zaszczyt dla ludu, lecz przeciwnie, jest to zaszczytem dla posła, że wzywają go do wyjawienia swego zdania, że chcą go słuchać publicznie. Najznakomitsi mężowie nauki, najwięksi mężowie stanu uważali takie zaproszenia za zaszczyt dla siebie i o ile mogli, czynili im zadość.

Naturalnie, że w Galicyi, gdzie lud nie ma bezpośredniego prawa głosowania lub wcale nie głosuje, wyrobiła się u niektórych „reprezentantów“ i u ich lokajów pogarda dla ludu, dla „motłochu“, dla „hołoty robotniczej!“...

Inni znów boją się poprostu zjawić się już nie przed ludem, ale nawet przed garścią „wyborców“ swoich, boją się, aby ich nie zapytano, co też zrobili oni ze swoim mandatem poselskim?

Dlatego tylko, wobec stosunków galicyjskich, musimy podnieść z uznaniem, że ks. Chotkowski nie poszedł drogą tych płazów politycznych i zjawił się na zgromadzeniu. Całkiem co innego, że zgromadzenia nie przekonał, ani nie nawrócił swojemi frazesami o „miłości“ i t. p. To jest już rzeczą dyskusyi.

Strejk robotników budowlanych w Przemyślu.

Przemyśl był i jest dotychczas miastem w którem stosunki robotnicze są prawdziwie „galicyjskiemi“. Czas pracy trwa tu prawie wszędzie ponad godzin 12 na dobę; płaca bywa najnędzniejszą, a obchodzenie się t. zw. pracodawców z robotnikami brutalne i pozbawione wszelkiej ludzkości. Dość powiedzieć, że np. tapicer Oberhard płaci czeladnikowi „wikt“ i **80** (osiemdziesiąt) **ct.** tygodniowo; dość przypomnieć, że kilka razy się już zdarzyło, iż majstrowie zwabiali robotnika do „korporacyi“ (do lokalu kasy chorych stow. korporacyjnych) i tam średniowiecznym sposobem porywali go w kilkunastu na stół i bili bezlitośnie; do kasy chorych niemal regularnie żaden majster swego robotnika nie zapisuje. Wracając do robotników budowlanych należy wspomnieć, iż w przemyśle budowlanym czas pracy był dotychczas zawsze 13—14 godzinny a płaca dla murarza „uzdolnionego“ najwyżej 1 złr. 80 ct., dla cieśli 1 złr. 40 ct.

Dlatego też nie można się nawet dziwić, że nareszcie kiedy uświadomienie robotników, wskutek coraz większego rozszerzania się wśród nich socyalizmu, pokazało im w całej nagości ohydę wyzysku, jakiemu podpadali, że wówczas nagle równocześnie wszyscy zapragnęli zmiany tych stosunków, że podjęli walkę o polepszenie swego bytu.

Jak wszędzie w Galicyi tak i tu, pierwsi do walki zerwali się robotnicy budowlani. Dnia 14 lipca zwołali oni ogólne zgromadzenie do sali na „Eiskellerze“ i tam postawili swe żądania, które następnie wydrukowane rozesłali do władz i do przedsiębiorców. Zażądali więc przedewszystkiem 10-godzinnej pracy dziennej (t. j. od 7 rano do 12 w południe i od 1 po południu do 6 wieczór) i podwyższenia płac. Żądali oni ustanowienia minimalnej (najniższej) płacy dziennej: dla murarza 1 złr. 40 ct., dla cieśli 1 złr. 20 ct., dla pomocników 90 ct., dla kobiet 65 ct., a dla chłopców 45 ct. Odpowiedzi na te żądania, żądano najpóźniej do 20 lipca br. postanawiając w przeciwnym razie rozpocząć walkę strejkującą.

I rzeczywiście! Panowie przedsiębiorcy dali 19 lipca odpowiedź, w której zgodzili się wprawdzie w zasadzie na 10 godzin, lecz chcieli, aby praca rozpoczynała się o **6-tej** rano (robotnicy żądali o **7-mej**) a zato, aby spoczynek był dwie godziny. Co do płac, to dawali tylko 1 złr. 20 ct. murarzowi a 1 złr. cieśli i t. d. w tym samym stosunku. Wobec tego rozpoczęli robotnicy budowlani w poniedziałek dnia 22 lipca bezrobocie. Do strejku stanęli wszyscy robotnicy zajęci przy budowach bez wyjątku; zastanowiło więc pracę przeszło 2.000 ludzi. W pierwszych dwóch dniach do strejku przyłączyli się częściowo także ceglarze, praczki z wojskowej pralni, robotnicy z młynu parowego, robotnicy zajęci przy szutrówce na kolei i t. d. Dlatego mogły źle poinformowane pisma burżuazyjne bająć coś o strejku generalnym 4.000 ludzi. Jeżeli piszemy, że ceglarze i t. d. „przyłączyli się częściowo“ do strejku, to nie potrzebujemy wprost dodawać, iż przyłączyły się tylko jednostki, które po jednym lub dwu dniach w dobrze zrozumianym interesie własnym i ogółu powróciłby nazad do pracy.

W ciągu półtora tygodnia trwania tego strejku odbywają się ciągle konferencye komitetów robotniczego i majsterskiego. Do zgody jednak przyjść nie chce. Wszystko rozbija się na oporze przedsiębiorców, którzy koniecznie chcą, aby pracę zaczynano o 6-tej, robotnicy zaś nie mogą się na ten warunek zgodzić, bo wiedzą dobrze, że takie postanowienia, jak $1/2$ godziny na śniadanie a $1/2$ na obiad (tak chcą majstrowie) bywają zawsze tylko kruczkiem dla tem pewniejszego krzywdzenia i oszukiwania robotnika przez zawsze niesłownych przedsiębiorców. Najzaciętszymi między przedsiębiorcami są Jaworski (który buduje dworzec kolejowy i baraki wojskowe) i Jarolim zbankrutowany budowniczy, obecnie handlarz staremi deskami. Ten Jarolim podobno w piekielnej złości do przedsiębiorców, podtrzymuje ich zatwardziałość, bo ma nadzieję, że oni zbankrutują wskutek strejku a wtedy on zyska coś na tem.

Zdaje się jednak, że nadzieje te okażą się zwodniczemi, bo panowie Jaworscy et comp. widząc, że krucho z nimi, że nigdzie robotnika dostać nie mogą lub, że co który przyjedzie, to przyłącza się do strejkujących, — zaczynają się już skłaniać do zgody. Strejk ten wogóle jest jednym z najpiękniejszych, jaki robotnicy w Galicyi prowadzili. Mimo zupełnego braku funduszów strejkowych, mimo jeszcze większego braku jakiejkolwiek organizacyi, trzymają się strejkujący wzorowo, żaden jeszcze dotąd nie złamał raz danego słowa, chociaż policya aresztuje ludzi z ulicy całemi dziesiątkami i zmusza ich do podjęcia napowrót pracy. Niemal codziennie odbywają się liczne bardzo zgromadzenia poufne strejkujących, na których nie mówi się o niczem więcej, jak tylko o strejku. Ponieważ na zebraniach tych nie ma prawa być obecnym ciekawy Parys, ani jego adlatus Porth, przeto aresztują ludzi spokojnie idących ulicą i sposobem inkwizycyjnym chcą się od nich koniecznie dowiedzieć: Kto przemawiał na zgromadzeniu, o czem mówiono, kto sprowadził (!) z Krakowa tow. Tadeusza Regera i po co, wiele tow. R. przywiózł z sobą pieniędzy!! i t. d. Jakkolwiek całe to postępowanie jest w najwyższym stopniu nieprawidłowem, to jednak w czasie „bezrobocia“ daje nam przynajmniej wcale pożądaną rozmaitość...

Na zakończenie muszę jeszcze dodać, że w zeszłym tygodniu był tu inspektor przemysłowy p. Nawratil, wezwany przez robotników. Pan Nawratil jednak uważał przedewszystkiem za swój obowiązek uwiadomić o swej wizycie Jaworskiego, który go oczekiwał nawet na dworcu, z nim najsamprzód odbyć naradę, a następnie z robotnikami obejść się wcale „nie pojednawczo“. Nie dziw też, że jak przyszedł, tak poszedł nic nie zrobiwszy, a pozostawiając tylko po sobie wcale nie pochlebne wspomnienia!

Przemyśl 31 lipca. (Telegram „Naprzodu“). Strejk robotników budowlanych zakończony zwycięstwem! Majstrowie przystali na 10 godzin pracy w ten sposób, że w marcu, kwietniu, październiku i listopadzie pracować ma się od 7 rano do 6 wieczór z jednogodzinną pauzą, zaś w maju, czerwcu, lipcu i sierpniu z dwugodzinną przerwą. Minimum płacy murarza 1 złr. 20, cieśli 1 złr. pomoc 60, kobiety 50 ct. Wszyscy mają otrzymać 10% podwyżki; chłopców na budowie może być $1/3$ część liczby robotników. Wypłata w sobotę na budowie.

Ustroń. W niedzielę odbyło się publiczne zgromadzenie ludowe, na którem referował w obecnem położeniu klasy robotniczej w Austryi tow. dr. Diamand.

---

szkańców. Ludność przejętą była w swych ciemnych mieszkaniach tym samym głuchym strachem, jaki wzbudza wielka powódź, lub niszczące trzęsienie ziemi. Te same bowiem zawsze objawiają się uczucia, gdy wywrócony zostaje istniejący porządek rzeczy, gdy nie ma już żadnego bezpieczeństwa, gdy wszystko, co prawa ludzkie lub przyrodzone ochraniają, ulegnie jakiejś bezwzględnej brutalnej sile. Trzęsienie ziemi, które gruzami domów walących się naród cały może zasypać; wezbrany strumień, który w pośród bydlęcego ścierwa i zerwanych dachów trupy topielców unosi, albo zwycięska armia, która morduje opornych, resztę bierze w niewolę, plądruje i wśród grzmotu szerzących zniszczenie dział swego Boga wynosi — są to straszliwe plagi, co odbierają wiarę w sprawiedliwość odwieczną, w niwecz obracają wszelkie zaufanie w Boga i ludzi.

Kiedy po upływie pewnego czasu pierwsza obawa ustąpiła, powrócił dawny spokój. W wielu familiach oficerowie pruscy mogli zasiadać do wspólnego stołu; niektórzy z nich, w rzeczy samej ludzie dobrze wychowani, z prostej grzeczności ubolewali nad Francyą, rozwodząc się nad tem, jak mało im zależało na wzięciu udziału w tej wojnie. Przyjmowano to współczucie z uznaniem, bo w końcu można się było pewnego dnia ujrzeć zniewolonym do korzystania zeń, albo też spodziewano się mniej żołnierzy dostać na kwaterę przy delikatnem postępowaniu. Po co wreszcie obrażać kogoś, od kogo się najzupełniej zależy? Takie postępowanie wydałoby się raczej zuchwałem, niż odważnem. Zuchwalstwa wszakże nie da się już dziś zaliczyć między błędy obywateli rouenskich, jak za czasów owej bohaterskiej obrony, którą się to miasto przed laty odznaczyło. Nakoniec mówiono sobie, zgodnie z znaną uprzejmością Francuza, że chyba bynajmniej nie może być wzbronionem w skrytości grzecznie postępować z żołdakiem niemieckim, jeżeli mu się tylko jawnie na poufałość nie pozwala.

Na ulicy nie znano ich znowu, ale w domu gawędziło się z nimi chętnie, a Niemiec co wieczór dłużej zostawał, aby się zagrzać u domowego ogniska.

Miasto samo odzyskiwało stopniowo zwykły swój wygląd. Francuzi wprawdzie nie wychodzili jeszcze z domów, za to żołnierze pruscy z całem upodobaniem przechadzali się po ulicach miasta. Zresztą mieszczanin zdawał się z tem samem lekceważeniem spoglądać dzisiaj na oficera błękitnych huzarów, wlokącego za sobą po bruku z dumą brzęczący pałasz, jak dawniej patrzał na oficera szaserów, którzy rok temu, przesiadywali tłumnie w tych samych kawiarniach.

Tymczasem w powietrzu unosiło się coś, czego nikt nie znał; zapanowała szczególna jakaś, nieznośna atmosfera, przesiąknięta tchnieniem nieprzyjacielskiego najazdu. Tchnienie owo czuć było zarówno we wnętrzu budynków, jak i pod gołem niebem; odmieniało ono smak pokarmów i robiło podobne wrażenie, jak gdyby się było w dalekiej, obcej krainie, w sąsiedztwie barbarzyńskich i niebezpiecznych ludów.

Zwycięzcy żądali pieniędzy, dużo pieniędzy, a ponieważ ludność była w większej części bogatą, więc też płaciła ciągle, ile chciano. Jednakże kupiec normandzki im jest zamożniejszym, tem boleśniej odczuwa każdą poniesioną ofiarę, tem więcej boli go każdy kawałeczek posiadanej ziemi, który widzi przechodzący w obce ręce.

Tymczasem o dwie lub trzy godziny poniżej miasta, wzdłuż rzeki w kierunku Croisset, Dieppedelle, Biessart, trafiało się często, że rybacy znajdywali na dnie rzeki obrzmiałego trupa niemieckiego żołnierza, który był zakłuty, uduszony, albo głowę miał kamieniem roztrzaskaną; niekiedy na ciele nie było żadnej rany, co dowodziło, że nieboraka po prostu z mostu strącono. Muł rzeczny pokrywał te tajemnicze i okrutne akty zemsty, te ponure heroizmy, podstępne i skryte napady, które niebezpieczniejsze były od bitwy wśród białego dnia, a dla których sława nie była nagrodą.

Bo nienawiść ku najezdcy uzbraja zawsze kilku nieustraszonych, gotowych umrzeć dla idei...

Że jednak zdobywcy, jakkolwiek żelazna ich dyscyplina zaciężyła nad miastem, nie popełniali ani jednego z owych okrucieństw, o które ich pogłoska w ich zwycięzkim pochodzie obwiniała, nabrano więc znowu otuchy i w kupcach prowincyonalnych odezwał się nałóg do handlu. Niektórzy z nich mieli do załatwienia znaczne interesa w Hawrze, obsa-

Koło polskie, a sprawa chłopska.

Taki był porządek dzienny zgrom. ludowego, zwołanego przez komitet partyjny do sali p. Ebera, na dzień 27 lipca o godz. 8 wieczorem. Komitet zaprosił trzech posłów krakowskich: Dra Weigla, ks. prałata Chotkowskiego i dra Sokołowskiego, aby przed ludem usprawiedliwili swoje głosowanie w Kole, gdzie nie pozwolono posłowi Lewakowskiemu interpelować rząd w sprawie zakazów wieców chłopskich. Poseł dr Weigel nadesłał w odpowiedzi następujące pismo:

Kraków dn. 27/7 1895 r.

Szanowny Komitet partyi soc. demokratycznej w Krakowie.

Na ręce p. Leona Misiołka.

Wezwany na Zgromadzenie pp. dziś odbyć się mające, celem wyjaśnienia głosowania mego na Kole polskiem, w sprawie zamierzonej interpelacyi Pana Posła Lewakowskiego, co do zakazu wieców chłopów, oświadczam Szanownym Panom, że na tem zejściu się Koła nie byłem; bo odbywało się w czasie pełnej sesyi deputowanych, podczas której znachodziłem się z innymi posłami w pełnej sali Rady państwa, z obowiązku mego. Nie miałem więc udziału w zejściu się Koła polskiego; a jako nieobecny na takowem, także nie głosowałem „contra". *Dr. Weigel.*

Ks. Chotkowski, przybył osobiście na zgromadzenie, a posła Sokołowskiego podobno w Krakowie nie było.

Zagaił tow. Misiołek, poczem wybrano tow. Englisza przewodniczącym zgromadzenia. Ten powołał na sekretarza tow. Ochmańskiego i udzielił głosu referentowi tow. Daszyńskiemu.

W godzinnej przeszło mowie przedstawił referent całą sprawę. Do niedawna jeszcze nie zajmowano się tak gorąco sprawą chłopską jak dzisiaj. Miliony biednych włościan żyły w ciszy i zapomnieniu; używano ich co najwyżej jako dekoracyi dla państwowych zabaw, marzyciele przeróżnego kalibru lub uczeni etnografowie; zbliżali się do chłopa, jak się zbliża do kolegi archiwów zwyczajów i obyczajów, strojów etc... Ale historya nie zna właściwie błędów: siła, która drzemie w jakiejś klasie społecznej, prędzej czy później się objawi na zewnątrz, tem potężniej im dłużej ją ukryć się starano. Dopóki robotnicy walczyli o podstawowe swoje prawa polityczne, społeczne i towarzyskie w miastach, dopóty nie mogli zajmować się losem chłopów, ale każdy krok w rozwoju organizacyi w mieście będzie nas z konieczności zmuszał do zbliżenia się do mas chłopskich, będzie ułatwiał poznanie się wzajemne i wspólną obronę. Nieprawdą bowiem jest, jakoby wielkie masy chłopskie miały różne interesy niż robotnicy. Od r. 1848 kiedy chłopom dano ziemię, dano jej im za mało i nie uczyniono z nich samodzielnych naprawdę gospodarzy lecz pół właścicieli a pół robotników. Tytuł „właściciel" stał się dla większej części chłopów czczem słowem, szyderstwem, a nie odpowiada on rzeczywistości. Jako właściciel pracuje chłop na podatki i na lichwiarza. Siły ekonomiczne chłopów oddawna już zostały zrujnowane przez gospodarkę szlachecką. Wyrazem zaś tej ruiny są niskie płace robocze, stanowiące niczem nie starte piętno hańby Galicyi. Taki książe Sapieha w Biłce szlacheckiej może dorosłemu chłopu płacić 12 centów za całodzienną pracę! (Hańba! wstyd!) Przy kosztorysie kolei Lwów-Janów obciął hr Potocki jednym zamachem płace robocze, przy których chłop musi niemal mrzeć z głodu. Jest to lekkomyślne i zbrodnicze marnotrawienie sił społecznych i narodowych, bo ostateczna ruina chłopa, odbija się na całym przemyśle i na całej cywilizacyi w narodzie. Ten, kto z żebraczych płac ludowej pracy czerpie swoją potęgę ekonomiczną, jest poprostu pasożytem, szkodnikiem narodowym.

Każdy ciężar publiczny pada większem brzemieniem na chłopa. Tak np. chłopu nikt nie da ulg w służbie wojskowej, gdy klasy posiadające mają możność tylko rok jeden służyć przy wojsku, tak podatki padając na nędzę chłopską dają się tutaj strasznie we znaki; ustawy wykonywane w miastach są dla chłopa z powodu odległości wsi od miasta i mnóstwa formalistycznych przepisów niekiedy zabójczo uciążliwe. Co roku nadto dochodzą nas jęki chłopskie z powodu wylewów rzek i zniszczenia nadbrzeżnych gruntów. Straty wynoszą miliony a przecież dziesiątki lat mijają, a Koło polskie nie znalazło energii, aby postarać się o rzeczywistą, poważną regulacyą rzek. Tak samo jak materyalnie zepchnięty został chłop na najniższy szczebel ekonomiczny, tak samo ma się rzecz i z jego oświatą.

Mowca omawia smutny stan kultury i oświaty w Galicyi.

Rozpaczliwym odruchem na tę nędzę chłopską jest emigracya ludu. Lud ucieka z ojczyzny w tem mniemaniu, że mu już nigdzie gorzej nie będzie. Historya emigracyi będzie kiedyś historyą męczeństwa biednych chłopów. Kryminały niemieckie, austryackie i włoskie to są stacye w tym krzyżowym pochodzie, to są etapy tej wędrówki, to szlaki zasłane kośćmi chłopa polskiego. Ale przecież wszyscy nie wyemigrują i ci co zostali, wzięli się wreszcie do roboty politycznej, chwycili się agitacyi, stowarzyszeń i zgromadzeń, chwycili się tych środków legalnych, które mają do dyspozycyi inne klasy społeczne; chłopi poczuli się wreszcie obywatelami, dla których są ustawy, tak dobrze jak i dla drugich! (Brawo!) Ten ruch zastraszył puszczyków reakcyi, zastraszył i przejął ich nienawiścią do chłopa.

Krzyknięto wnet, że chłop niema prawa wyłączać się ze społeczeństwa, nie ma prawa głosić, że należy tylko chłopów wybierać. Otóż to jest tylko dowodem strachu, ale nie rozsądku. Najpierw miliony ludu mają prawo robić co uznają za słuszne i co się bynajmniej ustawom nie sprzeciwia, a potem one to są rdzeniem narodu, a mówić o tem, że miliony odłączają się od kilku tysięcy i głosić to jako zdradę narodową, jest wprost śmieszną arogancyą.

Mowca opowiada historyą zakazów i przeszkód stawianych wiecom chłopskim, i przytacza niektóre ich motywy wśród okrzyków oburzenia zgromadzonych. Robotnicy powinni być nader wrażliwi na takie zakazy, bo „co dziś mnie, jutro tobie" i dlatego nie możemy znieść spokojnie, gdy widzimy, jak posłowie od prałata Chotkowskiego, aż do „chłopa" Potoczka powstają i zamiast bronić ustaw, prawią obłudne morały i odsyłają Lewakowskiego do sejmu, którego niema obecnie.

Mowca nie chce zajmować się krytyką mów szlachciców w Kole, lub takiego dra Witolda Lewickiego „oswojonego" do tego stopnia, że je z ręki (Wesołość) ale musi potępić zachowanie się zwłaszcza dwóch posłów: Chotkowskiego i Potoczka. Chotkowski zaczął od oszczerstw rzucanych na Daszyńskiego, zarzucając nieuczciwie, że D. musi „skądeś" dostawać pieniądze... Robotnicy wiedzą jednak aż nadto dobrze ile prawdy jest w tem nędznem oszczerstwie. Może żaden redaktor tygodnika mającego 2000 prenumeratorów, nie bierze tak skromnej pensyi jak Daszyński. Stoimy już na szczęście o własnych siłach, a do tego aby poruszyć robotników nie trzeba było pieniędzy, tylko pracy i zapału. Tak samo fałszem jest, jakoby ks. Badeniemu odbierano kiedy głos na zgromadzeniu robotniczem. Że robotnicy nie pozwolą sobie, aby każdy przeciwnik mówił o czem mu się podoba na zgromadzeniu, to jest ich dobre prawo.

Tak samo niegodziwe stanowisko w Kole zajął Potoczek, tylko był on płytkim i bezwstydnym. Dlatego że jemu zgromadzeń nie zakazywano, nie chciał się o drugich upomnieć, a także dlatego, że biskupów tam nie szanowano na tych wiecach! Ale ustawa o zgromadzeniach nie zna żadnych biskupów. Biskupi są obywatelami tak dobrymi jak i każdy chłop lub robotnik; to że nazywamy ich „pan Jan" lub „pan Łukasz" jest to oddaniem tego, co się im jako obywatelom należy. Społeczeństwo rządzi się prawami, a nie wolą biskupów, zwłaszcza że klątwa jaką obłożyli ni ztąd ni zowąd pisma ludowe, nie pochodzi wcale od papieża, który jest stokroć mądrzejszy od czterech biskupów galicyjskich. Na zgromadzeniach ani w pismach nigdy przeciw religii nie mówiono, odkąd „Naprzód" istnieje nie wytoczono nam ani jednego procesu o obrazę religii, a to że wykrywamy nadużycia księży, jest nie tylko naszem dobrem prawem, ale i obowiązkiem. Koło polskie, odrzucając interpelacyą Lewakowskiego, zerwało ostatnie mosty między sobą a ludem, pozbyło się obowiązków poselskich i obywatelskich, dlatego powinni robotnicy ten czyn Koła surowo potępić. W tym duchu przedstawił też mowca rezolucyę.

Przemówienie następnego mowcy księdza Chotkowskiego, podajemy dla bezstronności tak, jak je jego adlatus umieścił w „Czasie". Ksiądz Chotkowski zaczął od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, które pewna część zebrania za nim powtórzyła. Dalej dziękował, że rezolucya, przedłożona przez p. Daszyńskiego, zawiera słowa, jakich ks. Chotkowski użył w Kole polskiem, iż zakazami nie zabije się ruchu chłopskiego. Dalej stanął mowca w obronie duchowieństwa i biskupów; wskazał, że spraw domowych nie należy wytaczać przed parlamentem, ale załatwiać je w kraju i dlatego Koło przeciwne było wnoszeniu w Wiedniu interpelacyi. Dalej mowca dotknął sprawy socyalizmu i wyraźnie powiedział zebranym, że sami nie wiedzą, gdzie ich przywódcy ciągną, że religia nie jest sprawą prywatną, ale publiczną; zaznaczył też swoje stanowisko wobec ludu. Przypominał, że nam potrzebną jest miłość wzajemna, a nie szerzenie nienawiści".

Odpowiedział Chotkowskiemu tow. Dr. Diamand. „Miłość wzajemna" w ustach ks. Chotkowskiego i w jego obozie jest tylko obłudnym frazesem. Ten, który potrafi za 12 centów dziennie wyzyskiwać pracę chłopa, nie może naprawdę być przyjacielem tego chłopa. Ks. Chotkowski usiłował tutaj mówić o ogólnych celach socyalizmu, aby odwlec uwagę zgromadzenia od sprawy będącej na porządku dziennym. Komitet partyjny da jeszcze zwolennikom księdza Chotkowskiego nieraz sposobność pomówić o socyaliźmie, tutaj tylko należy nadmienić, że uczeni koledzy ks. Chotkowskiego często mniej mają wyobrażenia o socyaliźmie, niż skromy robotnik. Ks. Chotkowski odsyła skargi chłopskie do sejmu, a przecież to mają być wybory do sejmu! Po wyborach będzie już zapóźno, wtedy już kiełbasa i wódka zrobi swoje... To co ksiądz Ch. mówił w Kole o żydowskich akademikach, sympatyzujących ze socyalizmem jest nieprawdą: z nami sympatyzuje także część katolickiej młodzieży uniwersyteckiej, tylko, że ci ulegają najstraszniejszym prześladowaniom. Dość przypomnieć o przedwcześnie w nędzy zmarłym Podkowiczu, o śp. Stanisławie Kozłowskim, o wypędzeniu z uniwersytetu tow. Regera i wielu innych. Czy to jest owa „miłość" o której prawi ks. Chotkowski? Niechaj to swoim kolegom zaleca. Odsyłanie chłopów do „władz krajowych" zakrawa na ironię. Czy ks. Ch. myśli, że panowie starostowie zakazują wieców na własną rękę i dla własnej przyjemności? Przecież p. namiestnik Badeni zna stosunki Galicyi jak nikt inny, przecież niedawno pisano, że jego „silna" ręka jest w kraju potrzebną dla wyborów sejmowych...

Ks. Chotkowski zabrał po raz wtóry głos, aby się obronić bajeczką o kowalu powieszonym zamiast ślusarza. W końcu prosił, aby na jego głowę rzucono tylko pięćdziesiątą część hańby, bo w Kole jest przeszło pięćdziesiąt posłów. (Głos w sali: „I tej hańby wystarczy!") Gdy przy jednym ustępie mowy ks. Chotkowskiego wszczął się nieco większy zgiełk w sali, komisarz dr. Banach skwapliwie rozwiązał zgromadzenie. Tysiąc kilkaset ludzi zgromadzonych w sali, w podwórzu i na ulicy zaintonowało „Czerwony sztandar" i spokojnie rozeszło się do domu, nie mogąc tylko formalnie uchwalić rezolucyi postawionej przez referenta. Wszyscy jednak odeszli z tem głębokiem przekonaniem, że ks. Chotkowski nie zdołał obmyć siebie, ani Koła od słusznych zarzutów.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. W niedzielę odbyło się zgromadzenie stowarzyszenia zawodowego robotników ceglarskich w sali p. Imerglücka. Odczyt wygłosił tow. F.

Płaszów. O godz. 4 popołudniu odbyło się tu zgromadzenie poufne tow. ceglarskich i okolicznych włościan. Przemawiał tow. Serkowski.

---

dzonym przez armię francuską, usiłowali przeto w ten sposób do portu tego się dostać, że się udawali lądem do Dieppe, aby tam wsiąść na okręt.

Dlatego korzystano z wpływu znajomych oficerów niemieckich i wyrabiano sobie za ich poparciem pozwolenie u generała.

Otóż po zamówieniu wielkiego czterokonnego pojazdu, do którego się dziesięć osób u woźnicy zapisało, wyjazd naznaczony został pewnego wtorku o świcie, aby nie zwracać niczyjej uwagi.

Ziemia stężała już od pewnego czasu z powodu mrozów, a w poniedziałek około trzeciej nadciągnęła z północy gwałtowna zamieć śnieżna, która trwała bez przerwy cały wieczór i całą noc.

Około pół do piątej rano zebrali się podróżni w podwórzu „Hotelu normandzkiego", gdzie pojazd oczekiwał. Wszyscy byli jeszcze całkiem zaspani i trzęśli się z zimna pod swemi okryciami. W ciemności trudno im się było wzajemnie rozpoznać, a mnóstwo grubych sukien zimowych sprawiało, że dyliżans zdawał się otoczony gromadą opasłych popów w długich sutannach. Jednakowoż dwóch mężczyzn poznało się, trzeci ich zagadnął, i w ten sposób wywiązała się gawędka.

— Ja jadę z żoną — rzekł jeden.

— Ja również.

— I ja także.

Pierwszy dodał:

— Nie myślimy wcale powracać do Rouen, a jeśli Prusacy pójdą na Hawr, schronimy się do Anglii.

Wszyscy żywili ten sam zamiar, bo ich usposobienia, jak w ogóle i interesy, były prawie jednakowe.

Tymczasem ciągle jeszcze nie zaprzęgano koni. Od czasu do czasu mignęło światło małej latarki w rękach chłopaka stajennego z jednych ciemnych drzwi, aby natychmiast za drugiemi zniknąć. Stłumione odgłosy kopyt końskich odzywały się w stajni, z wnętrza budynku dolatywał głos męzki, klnący w stronę drzwi. W końcu cichy brzęk dzwonków oznajmił, że na konie nakładano uprzęż; łoskot ten, któremu towarzyszyło głuche stąpanie okutych żelazem sabotów, wkrótce się przybliżył.

Naraz usłyszano, jak drzwi zostały zatrzaśnięte i wszelki hałas ustał. Przeziębli podróżni przestali właśnie rozmawiać i kulili się teraz nieruchomi i zesztywniali: Na dworze osuwał się ku ziemi nieprzerwanie połyskujący kwef białych kłaczków, zacierając kształty i okrywając pojedyncze przedmioty migotliwym lodowatym płaszczem, tak, że wśród głębokiego milczenia, pogrzebanego w zimowej szacie miasta, jeszcze tylko ten jeden niewypowiedzianie cichy szelest słychać było, raczej uczucie niż szelest, bezładne wirowanie lekkich atomów, które zdawały się wypełniać przestrzeń, świat cały pokrywać.

Znów się ukazał człowiek z latarnią, prowadząc na postronku konia, który się wlókł za nim smutno i z wahaniem. Zatrzymał go obok dyszla, zapiął uździennicę i dużo czasu strawił na porządkowaniu reszty uprzęży, mógł bowiem przy tem tylko jednej ręki używać, gdyż w drugiej trzymał latarnię. Kiedy przyprowadził drugiego konia, zauważył nieruchomą, całkowicie już płatkami śniegu obsypaną grupę podróżnych, więc zawołał:

— Czemu nie wsiadacie do karety? Tam będziecie przynajmniej od zawieruchy zasłonięci.

O tem bez wątpienia nie pomyśleli dotąd, poszli więc teraz z wielkim pospiechem za jego radą. Trzej mężczyźni umieścili najpierw swe żony w samym tyle karety; potem wsiedli sami, a w końcu pozajmowały pozostałe ciemne postacie resztę miejsc, nie mówiąc ani słowa.

Dno pojazdu wyłożone było słomą, w którą każdy wkopał zaraz nogi. Trzy damy w głębi dyliżansu, mając z sobą małe miedziane ogrzewaczki, zapalały teraz znajdujące się w naczyniach węgle i wyliczały sobie wzajemnie przez pewien czas zalety tych przyrządów, przyczem powracały ustawicznie do rzeczy, jakie im właściwie oddawna były wiadome.

Kiedy nakoniec założono do wozu sześć zamiast czterech koni, ze względu na utrudnioną drogę, zapytał jakiś głos z zewnątrz:

— Czy wszyscy wsiedli?

— Tak jest — odezwał się głos z pojazdu, poczem ruszono z miejsca. (C. d. n.).

Zgromadzenie poufne robotników kolejowych odbyło się w niedzielę dnia 28 lipca. Referował tow. Misiołek. Mowca omawiał sprawę i położenie robotników kolejowych i teraźniejszych stowarzyszeń, których są protektorami tacy n. p. jak Kolosvary, a członkami tacy jak dr. Banach, tylko dlatego aby robotnicy byli od nich moralnie lub ekonomicznie zależni. Mowca gorąco przemawiał za założeniem stowarzyszenia zawodowego robotników kolejowych na wzór wiedeńskich towarzyszy.

Zgromadzenie majstrów cholewkarskich. Skoro tylko rozpoczął się ruch między żydowskimi robotnikami cholewkarskimi, zaraz przestraszyli się ich majstrowie, i chcąc zgnieść w zarodku ruch ten zawodowy, zebrali się dnia 23 lipca, i tu jeden z majstrów, niejaki Buchbinder, zaproponował obecnym majstrom i robotnikom, których również zaproszono, żeby założyć stowarzyszenie wspólne dla majstrów i robotników, w którem każdy członek otrzyma w razie potrzeby pożyczki na 4%. Dalszą rezolucyę jaką przyjęło było zobowiązanie się członków majstrów, że nie będą sobie nawzajem odbierać robotników. Robotnik więc byłby według tego Buchbindera zmuszony pracować pod najgorszymi warunkami zawsze u tego samego majstra, który mógłby zmniejszyć płacę, jakby mu się podobało, a wyzyskiwaniu takiemu biedakowi dałoby stowarzyszenie czteroprocentową pożyczkę. Bezczelny ten projekt odważono się podać w obecności robotników. To też obecny tow. Weinberg dał należytą odprawę majstrom, na słowa jednak gorżkiej prawdy i oburzenia z powodu tych machinacyi nie mieli oni żadnej odpowiedzi, tylko okrzyk przestrachu „Socialist“; przewodniczący odebrał głos tow. Weinbergowi.

Teraz robotnicy cholewkarscy poznali lepiej jeszcze niż dawniej swoich „przyjaciół“.

Z warsztatów i fabryk.

Niechlujstwo w piekarniach. W piekarni Barucha na Podgórzu znajduje się tylko jedna sypialna izba dla kilkunastu robotników. Są tam trzy łóżka, a oprócz tego trzy rodziny gotują w tej izbie! — W stancyi tej niemożebnem jest spanie; robotnicy poniewierają się po tabulach, gdzie się ciasto wyrabia. Próbowali kłaść się na posadzce, ale zadużo było szczurów!! Pod głowę niemają nic podłożyć, do mycia nie ma naczynia, tylko cebrzyki używane do „sztrychowania“ ciasta. Ręcznika robotnik nie dostaje, więc ociera się w brudne worki. Tak wygląda pierwszorzędna piekarnia na Podgórzu. Czy rząd na seryo nie może takiemu niechlujstwu zaradzić, czy to konieczne, aby chleb i bułki powstawały w takich ohydnych warunkach?

KRONIKA.

Pan dyrektor Kolosvary dał nam wreszcie satysfakcyę. Niedawno pisaliśmy o pokaleczonym na linii wizerze Kotwisie, którego sprawa ugrzęzła była beznadziejnie w biurach tutejszej dyrekcyi kolejowej. Otóż krakowski korespondent „Dziennika polskiego“ podaje teraz do wiadomości, że p. Kolosvary, dowiedziawszy się o tej zwłoce, zarządził surowo, aby spraw robotników i służby nie przewlekano lecz załatwiano je natychmiast. Jesteśmy szczęśliwi, że bodaj trochę pomogliśmy nieszczęśliwemu robotnikowi i prosimy p. Kolosvary'ego, aby raczył i inne skargi na ciężką dolę robotników kolejowych czytać uważnie w „Naprzodzie“. Są one zawsze oparte na gruncie prawdy i raczej skromne niż zuchwałe. Właśnie w poprzednim numerze jest tam materjał dla pożytecznej lektury p. dyrektora Kolosvary'ego.

Sądny dzień w Myślenicach. Niedawno temu poczciwe miasteczko nasze było w strasznem wzburzeniu. Sygnalizowano, że z Krakowa przyjedzie jeden socyalista i że wkrótce ma się założyć stowarzyszenie „Siła“ w samem mieście pod okiem starosty! Postawiono żandarmeryą na nogi i obsadzono drogę z Krakowa wiodącą. Zatrzymywano góralskie budki i żydowskie bryki, ale nadarmo, nie można było poznać socyalisty po nosie... Zresztą ten straszny człowiek przyjechał o parę godzin wcześniej i przywiózł ze sobą tyle trutki socyalistycznej, że wkrótce pół Myślenic będzie śpiewało „Czerwony sztandar“. Złapano go jednak wnet i kazano tow. G. czeladnikowi krawieckiemu opuścić miasto w dwóch godzinach! Ale socyalizm został i zaraz odbyło się poufne zgromadzenie robotnicze celem podania statutów stowarzyszenia do namiestnictwa. Mamy nadzieję że statuty będą zatwierdzone, bo mapa Galicyi pokazuje, że Myślenice zaledwie o cztery mile oddalone od Krakowa, gdzie już konstytucya i ustawy obowiązują. Wogóle radzimy dygnitarzom małomiejskim, aby zawsze nim zaczną łapać socyalistów na rozstajnych dregach, przeczytali sobie ustawy zasadnicze. potem ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach i upewnili się, że miasteczko ich leży w Europie, w tej samej Europie, gdzie tłumy socyalistów walczą w drodze ustaw o polepszenie losu ludu pracującego.

„Chrześciańsko-socyalny“ ks. Bukowski, proboszcz przy kościele św. Anny, okazuje się w swym zawodzie, jako bardzo „oszczędny“ przedsiębiorca, o czem niech świadczy następujący fakt: Babka kościelna, staruszeczka nader wiekowa, była ugodzoną za 1 (jeden) złr. na miesiąc (!), ażeby za to ścierała prochy w kościele. Biedna staruszka spadła niedawno ze schodów i poraniła sobie twarz do tego stopnia, że Towarzystwo ratunkowe odwiozło ją do szpitala, gdzie leżała około 2 tygodni. Gdy z powrotem zjawiła się, odciągnął jej ks. proboszcz Bukowski 50 centów za czas jej nieobecności!

Ks. Bukowski jest prezesem „Pracy“ i tym „chrześciańskim“ socyalistą, który ma zgotować trutkę na prawdziwy, robotniczy socyalizm. Tymczasem stoi on godnie obok tych, co z domu bogatych ks. Dominikanów wyrzucili na bruk 86-letnią starowinkę, sprzedającą od lat 20 w sieniach jarzynę. Kapitalizm jest prawem stalowem.....

Cudowny buk. W Szczyrku w pow. Bialskim zobaczyło nagle troje dziewcząt Matkę Boską na buku; jedna widziała częstochowską, druga kalwaryjską a trzecia frydecką i św. Franciszka. Naturalnie, że wkrótce tłumy ludzi zaczęły się zbierać dokoła buka i wnet jeden widział na listku głowę Chrystusa, inny w świetle gromnic widział gwiazdy wśród gałęzi, co się da objaśnić odbijaniem się światła w kropelkach rosy. Wnet zaczęto otaczać murem cudowne miejsce i składać tam ofiary; ponieważ dość głęboko kopano, więc dokopano się wody, stąd nowa radość! Tłumy ludzi napełniają flaszki tą wodą. omywają się nią, zabierają listki i zioła z sobą jako cudowne! Okoliczni chłopi, pracujący w Bielsku w fabrykach, sprawili zaraz dwie chorągwie do nowej kapliczki. Naturalnie, że przy poświęcaniu tych chorągwi ks. proboszcz w Buczkowicach nie omieszkał wystosować długiej przemowy o „fałszywych prorokach“, buntujących młodzież i t. d.

Podajemy te fakta, bo świadczą one o smutnej łatwowierności ludu w niektórych okolicach, łatwowierności, dla której ten ciemny i ubogi lud oddaje ostatnie nieraz grosze dla celów nie mających nic wspólnego nawet z religią, bo podobno ks. biskup nawet nie chce „cudu“ owego zatwierdzić.

Dzikość na prowincyi. Donoszą nam z Milówki pod Żywcem: „Przed kilku tygodniami pies jednego z obywateli zjadł kilka gorących ziemniaków, te zpowodowały wielki ból, pies z bólu biegał jak szalony, pogryzł kilka kur i gęsi i lekko ranił małą dziewczynę, której ranę po trzech dniach zgojono. Nasz pan oglądacz nierogacizny z Żywca zobaczył psa zdaleka i orzekł, że jest wściekły! Natychmiast pojawiło się pismo od starosty, orzekające, ażeby wszystkie psy i koty wymordowane zostały. (Zeszłego roku mordowano nam niemiłosiernie krowy). Dziwna rzecz że i koty od psa tej mniemanej wścieklizny nabyły?! Nasi panowie policyanci i oprawcy rzucili się na biedne zwierzęta zabierając je z naszych stancyj i mieszkań mówiąc, czy nie wiemy jaką oni władzę posiadają?! Biedne zwierzęta prowadzono na ściernisko, tu zaczęto używać nowo wymyślonego sposobu mordowania tych biednych zwierząt. Biedne koty wsadzono do worka, jeden z policyantów trzymał, drugi okładał biedne zwierzęta kijem, trzeci kamieniami, a czwarty mówiąc „aby im kości wyprostować“ — tłukli stworzeniami o ziemię, i o pobliski słup. Taka egzekucya odbywała się przez 2 tygodnie przy publicznej drodze, przy natłoku ludzi przeklinających „naszych dobrodziejów“ XIX. wieku. Niektórzy z obywateli robili podania do starostwa celem zostawienia ich psów przy życiu, lecz niestety tylko psy mecenasów, rejentów, naczelników, burmistrzów — zostały od egzekucyi uwolnione. Taka sprawiedliwość jest w naszym starostwie żywieckiem. Gdyśmy wspomnieli aby te zwierzęta choć strzelano, odpowiedziano nam że nie można. Za zamordowane psy, ściąga nasz pan burmistrz od gospodarzy kosy, piły, surduty i t. p., mówiąc że to idzie na pogrzeb !...

Prześladowania. Tow. Witolda Regera aresztowano w Przemyślu powtórnie 18 lipca i dotąd go jeszcze nie wypuszczono z więzienia śledczego. Prokuratorya oskarża go o §§. 278 i 283, 300 i 302. Nadto aresztowała policya przemyska całe mnóstwo rozmaitych towarzyszy z powodu strejku murarskiego. Niektórych z nich już wypuszczono, kilku oddano do sądu, innych trzymają już od kilku dni w więzieniach policyjnych „pod Matką Boską“.

W sądzie powiatowym w Krakowie odbyła się 1. b. m. rozprawa przeciw towarzyszom Engliszowi, Leserowi, Łojasiewiczowi, Misiołkowi i Serkowskiemu o obrazę rządu, parlamentu i organów rządowych, dokonaną na dwóch zgromadzeniach w lutym r. b. Pierwotnie rozprawa miała się odbyć przed przysięgłymi, gdyż śledztwo prowadzono w kierunku §§. 65, 300 i 302, ale prokurator uznał za stosowne od oskarżenia dalej idącego odstąpić i zadowolił się ściganiem za zwykłą obrazę czci. Rozprawą kierował adjunkt Turowicz, obwinionych bronił adwokat dr. Gross. Po przesłuchaniu świadków komisarzy policyjnych Tarchalskiego i Stiebera. którzy sobie niczego nie przypominali, jednakowoż z całą stanowczością twierdzili, że zeznania ich złożone w śledztwie dosłownie odpowiadają prawdzie, sędzia wydał wyrok skazujący Englisza, Misiołka i Łojasiewicza na tydzień aresztu. Serkowski został uwolniony, a przeciw Leserowi, któremu wezwania nie doręczono, rozprawa została odroczoną.

W motywach przyjął sędzia, że zdanie ubliżające pojedynczym posłom lub grupom posłów obrażają parlament. Zeznania komisarzy policyi uznał sędzia za zupełnie wiarygodne mimo że w zeznaniach Tarchalskiego znajdują się zdania jak „Englisch powiedział, Galicyi zawdzięczamy, że robotnicy doszli do świadomości położenia“ i t. p. rzeczy których sensu nikt zrozumieć nie mógł. Prokurator odwołał się co do wymiaru kary i uwolnienia Serkowskiego a obrońca co do winy i kary.

Przeciw tow. Łojasiewiczowi odbyła się jednocześnie przed sądem powiatowym w Podgórzu rozprawa karna zakończona wyrokiem skazującym Łojasiewicza na 3 tygodnie aresztu. Bronił obrońca p. dr. Laudau.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pan Gramatyka majster ślusarski i towarzysze co podpisali nadesłane naszej redakcyi pismo, raczą się zgłosić do nas w godzinach redakcyjnych lub innych dla nich dogodnych, ażeby poważniej omówić przedmiot. Jeżeli traktują oni rzecz na seryo, to nie zaniedbają tego uczynić, w przeciwnym razie będziemy musieli ich pismo uważać za wybryk nieuzasadnionej niechęci.

Tow. Mark Drezno. Dziękujemy za życzliwą radę. Nieraz już uznawaliśmy jej słuszność, ale trudno ją w życie wprowadzić przy tygodniku.

Tow. M. Tarn. z Buczkowic. Nie możemy umieszczać tak obszernej korespondencyi o takiem drobnem zajściu, dlatego musimy skrócić.

Towarzysze! pamiętajcie o funduszu na prześladowanych.

Druk W. Korneckiego w Krakowie. Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Jan Ochmański.